

Wdzięczny początek roku

Z SALI KONCERTOWEJ

ANNA WOŹNIAKOWSKA

W przygotowanych przez instytucje muzyczne Krakowa koncertach sylwestrowych i noworocznych, a także karnawałowych nie zabrakło zwyczajowo muzyki Straussów, w czym naśladowamy wzory wiedeńskie, ale tym razem temu tradycyjnemu repertuarowi schyłku XIX wieku przeciwstawiono zgola inne rytmy.

Jan Tomasz Adamus ze swym zespołem witał Nowy Rok operą Haendla, Kamerata Krakowska, niegdyś inicjatorka koncertów noworocznych, tym razem pod dyrekcją Rafała Jacka Delekty, nie rezygnując z cesarsko-królewskiej muzycznej atmosfery, wzbogaciła ją nieznanymi kompozycjami z przełomu XVIII i XIX wieku zachowanymi w Bibliotece Muzycznej Zamku w Łańcucie, natomiast w Filharmonii

w sylwestra i Nowy Rok jazzowe ballady zdobyły szturm serca publiczności.

Amerykańskie klimaty zagościły w Filharmonii na dłużej, bo oto w miniony weekend słuchaliśmy śpiewów gospel w wykonaniu Chóru Filharmonii Krakowskiej (przygotowanie Teresa Majka-Pacanek) prowadzonego tym razem przez Karen Edwards, amerykańską pianistkę, śpiewaczkę i dyrygentkę.

Śpiewom towarzyszyli muzycy: Paweł Tomaszewski na organach Hammonda, Marcin Lamch na gitarze basowej i Adam Czerwiński na perkusji.

Religijne śpiewy czarnoskórych niewolników są nie lada wyzwaniem dla kształconych klasycznie europejskich gardeł. Filharmoniczni chórzysci potrafili jednak dostosować emisję do wymogów gospel. Potrafili też oddać głosem niezwykłą ekspresję, jaką przesycona jest

ta muzyka. Pomocna im tu była charyzmatyczna Karen Edwards śpiewająca sola i wręcz narzucająca sposób przeżycia wykonywanych utworów.

Nieco gorzej było z tym, co tak charakterystyczne dla chórów gospel, czyli z ruchem w rytm muzyki. Wprawdzie nikt nie stał nieruchomo, chór falował, kłaskał, wznosił do góry ręce, ale mimo wszystko czuło się, że ten sposób wyrażania emocji jest w dużej mierze wyuczony, a nie wypływa z wnętrza. A gospel to nie aerobik-dance.

Tradycja z nowością połączona została w sobotę na pierwszym w tym roku koncercie karnawałowym w Operze Krakowskiej prowadzonym przez Tomasza Tokarczyka. Tradycyjnie słuchaliśmy arii i duetów z oper i operetek w wykonaniu Edyty Piaseckiej-Durlak, Agnieszki Czastki, Adama Sobierajskiego i Stanisława

Kufluka, cieszyliśmy się pięknymi tańcami w wykonaniu baletu Opery Krakowskiej. Nowością był udział w koncercie gości specjalnych: Anny Polony i Wiesława Ochmana.

O ile obecność w Operze Krakowskiej wciąż będącego w dobrej dyspozycji wokalne artysty goszczącego niegdyś na największych światowych scenach nie była zaskoczeniem, to przecież mistrzostwo sceniczne, jakie pokazał ten osobliwy duet, nie miało sobie równych. Aria ze śmiechem z Pericholi Offenbacha w interpretacji Anny Polony, duet wędrujący od Dziada i baby Moniuszki poprzez różne motywy operowe do Libiamo Verdiego, próby „odkrywczej” reżyserii najslawniejszej sceny z „Wesołej wdówki” Lehara były nie tylko doskonałą zabawą. Przypomniały, jak wygląda prawdziwe aktorstwo. Szkoda, że tak rzadko mamy z nim teraz do czynienia.

DZIENNIK POLSKI

09-01-2012

Wyryłem „kocham Baśkę”

WIESŁAW OCHMAN o pociągach, kamienicy na Pradze, boksie, humorze i cyrkonii, a także o wielkim świecie opery pełnym uwielbienia i absurdów w rozmowie z Agnieszką Małatyńską-Stankiewicz

– Podobno dorabia Pan w pociągach?

– Zdarzyło się. Jechałem pociągiem w wagonie bez przedziałów. Było tam kilkanaście osób zajętych swoimi sprawami. Przyszedł konduktor sprawdzać bilety. Jak mnie zobaczył, powiedział: „Oj, ja do pana jeszcze wróć”. Wrócił. Okazało się, że jest solistą kolejowego chóru i że ma problem z zaśpiewaniem kilku partii. Zaczęliśmy sobie podśpiewywać. Najpierw on mnie, potem ja jemu. Tłumaczyłem, jak trzeba wziąć oddech, jak zaatakować dźwięk. Dojechaliśmy do Warszawy. Wysiadłem. Na peronie miły pan podszedł do mnie i pyta: „Panie Ochman, pan sobie teraz dorabiasz w pociągach?”. Za dwa dni zadzwonił do mnie kolega i mówi: „Słuchaj, Wiesiek, podobno śpiewasz w Intercity”. A ja na to: „Nie w Intercity, tylko w Taniach Liniiach Kolejowych”. „To aż tak jest źle?” – jęknął kolega.

– Widać, że ma Pan dystans do siebie.

– Raczej umiem się z siebie śmiać. Kiedyś zatrzymał mnie policjant, bo za szybko jechałem. Wziął ode mnie prawo jazdy, przyjrzał się, uśmiechnął i powiedział: „Panie Ochman, dlaczego pan nie jeździ tak, jak pan śpiewa?”.

– Sypie Pan dociągami jak z rękawka.

– Nie, ja tylko opowiadałem śmieszne historie, które mi się przydarzyły. Nic nie zmyślam. Na przykład: naciśkam dzwonek przy furtce w jednym z domów w Zabierzowie. Po chwili otwierają się drzwi, staje w nich mężczyzna i mówi: „Jezus Maria. To pan? Mamo, mamo” – woła. – „Pan Polomski przyjechał”. A na to matka: „Synu, czy ty oczu nie masz, to przecież pan Hofman”. Albo pewien mężczyzna przechodząc ulicą spojrzał na mnie i zdziwił się: „O Boże, pan żyje?”. „Żyje” – odpowiedziałem. „To który z tych wielkich artystów umarł?” – zapytał. „Szalopin” – odparłem. „No właśnie” – stwierdził i poszedł dalej.

– Poczucie humoru pomaga Panu w życiu?

– Oczywiście. Poczucie humoru to wielka zaleta. W czasie studiów w AGH byłem w wesołej grupie kolegów i w akademiku – na Miasteczku Studenckim przy ul. Reymonta, gdzie spędziłem wiele lat – widziałem wesołe życie. Na zajęciach też bywało zabawnie. Np. marksizm wykładał bardzo sympatyczny pan. Zajęcia odbywały się w sali amfiteatralnej, gdzie na górze podczas wykładu grywalismy w brydża. Pewnego razu tak się „zagralszy”, że wykladowca wszedł na górę stanął za nami i jak kolega chciał wychodzić w asa, krzyknął: „Pan chyba zwariował. Lepiej niech pan wyjdzie w króla”.

– Sprawdź Pańską wiedzę z zakresu studiów: czy cyrkon i cyrkonია znaczy to samo?

– Oczywiście, że nie. Cyrkonia to głównie oczko w pierścionkach. Natomiast cyrkon to piwsiastek, który barwi szkło ceramiczne. Wiem dlatego, bo Pani pyta...

– ...bo tytuł Pańskiej pracy magisterskiej brzmi: „Wpływ dwutlenku cyrkonu na maczenie szklów ceramicznych”.

– Nawet okazuje się, że kaflarnia w Kieleckim pracuje według mojej



Artystą jest się na scenie, a w życiu trzeba się zachowywać jak zwykły człowiek

Praga nauczyła mnie, że prawdziwe życie wygląda nie tak kolorowo, jak pokazują czasopisma

metody, o czym powiedział mi kolega, który przez pewien czas był tam szefem technicznym. Jak widać istnieją w świadomości także jako ceramik, choć może nie wszyscy wiedzą, że to jest mój przepis. Uczelnia wiele mi dała, bo nauczyła mnie trzeźwego myślenia, racjonalnego podejścia do wszystkiego. Dlatego uważam, że artystą jest się na scenie, a w życiu trzeba się zachowywać jak zwykły człowiek. To trudne, bo jak ktoś codziennie rano patrzy w lustro powtarza sobie „jestem wybitnym artystą”, to zaczyna mu się ciężki dzień. A jak się jest zwykłym człowiekiem, łatwiej żyć. Zawsze powtarzam, że odwarżanie nut to nie jest sztuka. Sztuka pojawia się wtedy, kiedy uda nam się te nuty przetworzyć w osobisty przekaz. Wtedy możemy powiedzieć, że coś zostało stworzone z naszym udziałem.

– Pańska praca magisterska została uznana za interesującą. Zaproponowano Panu nawet pracę na uczelni. Pana jednak porwał śpiew.

– Prof. Tomasz Kuroś, u którego broniłem pracę magisterską, powiedział: „Niech Pan idzie próbować do opery, ale jak się panu nie uda, to niech pan wraca robić doktorat”. I ja do dziś próbuję w operze.

– Z jakim skutkiem?

– To pytanie właściwie nie do mnie, lecz do publiczności. – Zrobił Pan wielką karierę, osiągnął wszystko, o czym może marzyć śpiewak.

– Początki nie były łatwe. Byłem przekonany, że po roku wrócę na uczelnię. Nie podejrzewałem, że mogę zostać na scenie na dłużej. W Krakowie, w Operze, zaproponowano mi jedynie statystowanie w „Baronie cygańskim”, a dokładnie skakanie przez ogień. Odmówiłem. Dyrektor Opery Poznańskiej odpisał na mój list z prośbą o przesłuchanie, że nie potrzebuje tenorów. Udało mi się dostać do Opery Śląskiej, gdzie wiele się nauczyłem. Potem trafiłem do NRD, później RFN itd. Spotykałem wielu doskonałych fachowców: Bronisława Dąbrowskiego, z którym pracowałem podczas otwarcia Teatru Wielkiego w Warszawie...

– ...śpiewał Pan wówczas partię Jontka w „Halce” Moniuszki.

– To było zresztą bardzo dobre przedstawienie przez niego wyreżyserowane; krakowskie, bo twórcy byli z Krakowa. Autorem pięknej scenografii był prof. Jacek Stopka. Później poznałem takich reżyserów, jak August Everding, Goetz Friedrich, John Dexter, którzy realizowali słynne przedstawienie „Nieszporów sycylijskich” w Operze w Hamburgu. Paryżu i Metropolitan Opera w Nowym Jorku. – W 1975 roku zadebiutował Pan w Metropolitan Opera w Nowym Jorku właśnie w „Nieszporach sycylijskich”. Wówczas był Pan drugim Polakiem po Kiepurze, który stanął na tej scenie. Pamięta Pan ten moment?

– Oczywiście. Tego nie da się zapomnieć. Widownia na 4 tys. osób, poza tym doskonała obsada, m.in. Renata Scotta, Sherill Milnes, Ruggero Raimondi. Nie mogłymi zejść ze sceny. Owacja trwała długo.

– WMET wystąpił Pan jeszcze w „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego, „Borysie Godunowie”

i „Chowańszczyźnie”

Musorgskiego, „Rycerskości Wieśniaczej” Mascagniego, „Katii Kabanowej” Janáčka. Jaka była atmosfera w tym najświeższym teatrze?

– Niezwykła. Pewnego dnia Franco Zaffirelli zaprowadził mnie w podziemia, do pracowni krawieckiej, której szefem był Polak, pan Włodzisław. „Słuchaj” mówił do niego po angielsku. „On musi mieć kostium jak kawa, jak kawa na Sycylii, z tą przestrzenią, z tym pejzażem. Pamiętaj, jak kawa na Sycylii”. A na to pan Włodzisław: „ale z miekiem czy bez?”.

– Szybko przylgnęła do Pana opinia, że jest Pan trudnym śpiewakiem. Dlaczego?

– Bo zadawałem reżyserom wiele pytań. W operze logika jest bardzo ważnym elementem kreacji całego przedstawienia. Każdy ruch i gest musi być uzasadniony. Na wykładach reżyserii w Hamburgu, w których brałem udział, Goetz Friedrich mówił, że najtrudniej jest przekonać widza, że to, co się dzieło w XV wieku, jest do zrozumienia w dzisiejszych czasach. Jeżeli ktoś Borysa Godunowa ubiera we współczesny garnitur, a ten śpiewając, że został carem, nakłada koronę na głowę, to robi się farsa. Niedawno zadzwonił do mnie asystent jednego reżysera i powiedział: Opowiedz mi, o czym jest „Nabucco”, bo będę to reżyserował – Wielki świat sceny operowej, czyli uwielbienie publiczności, kwiaty, szampany, kawior nie zepsuły Pana?

– Nie. Nigdy nie schodziłem ze sceny z poczuciem uwielbienia dla siebie. Zdarzało się, że byłem zadowolony bardziej czy mniej, ale starałem się zawsze reprezentować wysoki poziom, aby publiczność była zadowolona. Pamiętam mój debiut w „Tosce” w Hamburgu. Śpiewałem wówczas z legendą, barytonem Tito Gobbiem, który mówił mi: „Pamiętaj, idź w pracy do przodu, ale nigdy nie pchaj się

w górę. W każdym teatrze możesz wystąpić raz, ale jeżeli zaproszą cię kilka razy, znaczy, że coś jesteś wart”. I według tych wskazówek starałem się działać. Zawsze mnie interesowała różnorodność. Śpiewałem w operach od Mozarta do Wagnera. Potrafiłem wykonywać partie liryczne i dramatyczne.

– W jednym z wywiadów powiedział Pan, że mimo wielkich scen i przyjaciół gwiazd pozostał Pan chłopakiem z Pragi, z ulicy Żąbkowskiej.

– To prawda. Moja młodość, pomimo że przypadła na czas okupacji, przebiegała spokojnie. Wpłynęła na moje pojmowanie świata. Mimo „objawiania się” po świecie, dzięki ludziom w mojej dzielnicy, w której wzrastałem, wiedziałem jak żyć.

– Czyli?

– Praga nauczyła mnie, że prawdziwe życie wygląda nie tak kolorowo, jak pokazują czasopisma; toczy się gdzieś indziej, niekoniecznie tam, gdzie są miliony, najlepsze samochody. W tej dzielnicy nie było hrabiów, choć mieszkali ludzie bardzo znani... policji. Jako mały chłopak jeździłem w Lubelskie z mamą, która w zamian za środki czystości przywoziła jedzenie. Pamiętam, że później rozdawała je sąsiadom. Wtedy zrozumiałem, że pomaganie innym jest normalnym działaniem człowieka. Wprawdzie „dorosłe” życie pokazało mi też inny rodzaj ludzkiej „życzliwości”, ale ja zawsze wierzę w ludzką dobroć i wrażliwość.

– Walecyl Pan o swoje miejsce w grupie?

– U nas na Pradze była to raczej walka dla rozrywki. Nie o chleb czy o pozycję społeczną. Z tymi chłopakami, z którymi się biliśmy, potem się przyjaźniłem i do dziś się z nimi spotykam. Jeden z nich, obecnie już na emeryturze, był kierowcą autobusu. Dzwonił do mnie i mówił: „Jak chceś, to przewiozę cię za darmo”. Nie skorzystałem. Porządni ludzie powyrastali. Pomogło mi to zrozumieć, że rzetelna praca może doprowadzić do sukcesu. Niekoniecznie trzeba się urodzić w superdzielnicy, aby do czegoś dojść.

– Boks Panu pomógł?

– Nie przepadałem za boksem, ale jako sportowiec dostawałem większe racje żywnościowe. A poza tym miałem idealne warunki do wagi papierowej. Grałem także w piłkę nożną. Pomagało mi, że byłem kapitanem drużyny szkolnej i mogłem decydować, kto ze mną gra. Była to pierwsza władza i pierwsza odpowiedzialność za innych.

– Wraca Pan na ulicę Żąbkowską?

– Już nie. Kamienica nasza nie istnieje. Przetrwała wojnę, miała wiele śladów od kul, ale w latach 70. wysadzono ją w powietrze, zlikwidowano ogród i postawiono blok z wielkiej płyty. Gdy kamienicę wysadzili, pojechałem tam z bratem i szukaliśmy parapetów, na których pisał „kocham Baśkę”. Chciałem sobie wziąć na pamiątkę. Ale zjawili się milicja, zaczęła nas legitymować. Jeden z policjantów mnie znalazł, bo już śpiewałem w Operze Narodowej, trochę pogadał mi i tak skończyła się historia naszego domu. Pozostały już tylko wspomnienia.

DZIENNIK POLSKI

30-12-2011

Karnawałowo operowo

ANNA POLONY I WIESŁAW OCHMAN będą gospodarzami niezwykłego wieczoru w Operze Krakowskiej

Sobota, 7 stycznia, godz. 18.30, Opera Krakowska

Już tradycyjnie w karnawale Opera Krakowska organizuje wiele wieczorów, pełnych przebojów w gwiazdorskim wykonaniu. W styczniu i lutym odbędą się trzy takie koncerty, a każdy z nich będzie miał szczególny charakter, gdyż muzyczny karnawałowy repertuar wzbogaci rozmowy, prezentacje i dyskusje z zaproszonymi gośćmi.

Muzyka, karnawał, śpiew

Pierwszy koncert zatytułowany „Muzyka, karnawał, śpiew” przyniesie największe przeboje operetkowe, musicalowe i pieśni neapolitańskie. Wystąpią soliści Opery Krakowskiej: Agnieszka Czastka, Edyta Piasecka-Durlak, Stanisław Kufluk, Adam Sobierajski oraz Orkiestra i Balet Opery Krakowskiej. Orkiestrę poprowadzi Tomasz Tokarczyk.

Ten wieczór pewnie nie różniłby się od innych, gdyby nie to, że gośćmi specjalnymi będą Anna Polony i Wiesław Ochman, niezwykle postaci polskiej sceny artyści obdarzeni wielką wiedzą, ale także niezwykłym poczuciem humoru. Anna Polony, wielka aktorka Starego Teatru słynie z miłości do opery i muzyki. Jej występ na operowej scenie nie powinien więc dziwić ani zaskakiwać, lecz być gwarantem wspaniałej zabawy.

Obroża na szyi

To samo można powiedzieć o Wiesławie Ochmanie, artyście, który słynie nie tylko z po-



Wiesław Och!(man)

czucia humoru, ale także z ogromnego dystansu do siebie. Jego prowadzenie koncertów to niekończące się fajerwerki śmiechu, a zabawnymi historiami sypie jak z rękawa.

Mawia: „Pamiętam przedstawienie „Borysa Godunowa” robione przez Josepha Loseya, słynnego reżysera filmowego, w Operze Paryskiej. Scenograf, który nie miał nic wspólnego wcześniej z operą, ubrał mnie w kostium, który ważył 15 kilo. Podczas próby ledwo stałem, a kiedy zaciśnął mi obrożę na szyi, jęknąłem, że nie dam rady śpiewać. A na to on: „ale będziesz dobrze wyglądał”.

How are you?

Albo: „w MET nie mogliśmy zejść ze sceny, była owacja. Po przedstawieniu w salce, gdzie publiczność czeka na autografy, zauważyłem pana, który cały czas do mnie kiwał,

mówił brawo. Podeszedłem do niego: How are you? a on na to: ja jestem Polak z Kielc”. „Podobało się panu przedstawienie? – pytam. Nie – odpowiada. To dlaczego pan chce ode mnie autograf? Bo Pan najgłośniejsze śpiewał”.

Wy dranie jedne

Wiesław Ochman uważa, że nie opowiada dowcipów tylko historie, które mu się przydarzyły. I przyrzeka, że nigdy nie zmyśla.

Opowiadał: „Zatrzymał mnie kiedyś policjant, bo za szybko jechałem, wziął ode mnie prawo jazdy, przyjrzał się, uśmiechnął i powiedział: panie Ochman, dlaczego pan nie jeździ tak, jak pan śpiewa? Albo tu w Krakowie zawiozłem kiedyś prof. Czesława Rzepińskiego, u którego uczyłem się malarstwa, na pocztę. Zaparkowałem mojego najnowocześniejszego wówczas

mercedesa pod wejściem, a człowiek, który przechodził obok krzyknął: To oczywiście z pracy rąk, wy dranie jedne”.

Ulubieniec publiczności

Wiesław Ochman jest ulubieńcem publiczności. Widzowie przerywają mu często opowieści nie tylko wybuchami śmiechu, ale także brawami. Trudno się dziwić, jak nikt umie on doskonale wprowadzić w odpowiedni nastrój, opowiedzieć słów kilka o repertuarze, twórcy a także wykonawcach. Bo artysta ten od potrawy zna świat opery. Występował przecież na największych scenach świata; był pierwszym Polakiem po Janie Kiepurze, który wystąpił w słynnej Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Artysta ciągle śpiewa i być może i tego wieczoru pokaże publiczności, że ciągle wzrusza i zachwyca.

Następne wieczory

Drugim koncert „Powróćmy jak za dawnych lat...”, który zaplanowany został na 21 stycznia zdominuje muzyka okresu międzywojennego i powojennego. Wystąpią Sonia Bohosiewicz i Jacek Wójcicki oraz m.in. Agnieszka Czastka, Karin Wiktor-Kałucka, Bożena Zawislak-Dolny, Andrzej Biegun. Orkiestrę Opery Krakowskiej poprowadzi Tomasz Chmiel, autor aranżacji.

Zabrzmia także przeboje jak: „Zimny drań”, „Miłość ci wszystko wybaczy”, „Powróćmy jak za dawnych lat”, „Seksapil”.

AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ

DZIENNIK POLSKI

05-01-2012